TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI·

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie .... $1.00.

Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii .... $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JE[illegible]IE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 8. Chicago, Ill., Czwartek, 24-go Lutego, 1898 Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Młynarz wytrzeszczył oczy niby nic nie rozumiejąc.

Starzec nie wiedział żali rzec prawdę, czy też nie. Ale w tej chwili tak sobie zaczął rozumować:

Gdyby Wiaziemskij był zdrów, ukryć od niego bojarkę byłoby nadzwyczaj niebezpiecznie, gdy tymczasem za wydanie jej sowitąby otrzymał nagrodę! Ale czy Wiaziemskij wyzdrowieje? Bóg jedyny raczy wiedzieć. A Morozow znów też się odwdzięczy młynarzowi za przysługę. I Srebrny widać nie na żarty kocha bojarkę, kiedy tak o nią porąbał księcia. Przeto zawnioskował stary: Wiaziemskij nic mi teraz nie zrobi, a Srebrny i Morozow powiedzą: Bóg zapłać, jeżeli ją wyratuję.

A więc na odpowiedź był już zdecydowany.

— Anim słyszał, anim widział, moi złoci, nic nie wiem o jakim koniu, o jakiej bojarce mówicie.

— Ej stary, ty łżesz!

— Niech mnie djabli porwą! Niech nie widzę królestwa niebieskiego! Niech mnie tu w tej chwili piorun trzaśnie, jeżeli co wiem o koniu lub o bojarce!

— A dajno łuczywo, zobaczymy czy niema śladów na piasku.

— Nie ma co patrzeć — ozwał się któryś opricznik, choć i byłyby ślady, to nasze konie je zatarły.

— To nie ma co patrzeć, otwieraj stary komorę, kniazia przeniesiemy.

— Zaraz, moi mili, zaraz. Eh, stary ja jestem, moi kochani, gdyby nie to, poleciałbym do karczmy, przyniósłbym wódzi i zieleniaczku.

— A bo w domu nie masz?

— Nie, moi złoci, zkąd ja nieborak miałbym. Nie ma ani gorzałki, ani siana dla waszych koni. Oto w karczmie, tam wszystko jest, i wino nawetby mogło pójść ztamtąd na carski stół, takie dobre! Ciasno wam będzie u mnie, panowie kochani, i przekąsić nie ma co, ale wy przecież panowie jesteście wojakami i bez wieczerzy się obejdziecie. Konie wasze trawki poszczypią, tylko to bieda, że trawa tu taka... że zdarza się, ale nie zawsze, jeno często, że jak konisko się jej nażre, to go rozedmie jak górę, (ale nie zawsze, moi panowie), trochę się pokiwa, pokiwa i pięknie.

— Czort cię bierz, stary świdrze! chcesz, żeby nasze konie popękały?

— Boże broń, złoci panowie! konie można przywiązać, żeby trawy nie jadły, jedna nocka to głupstwo, i tak sobie postoją, przecież im się nic złego nie stanie. A was, panowie kochani, upraszam pokornie, raczcie do mojej komory; nie ma w niej ani siana, ani słomy, ziemia goła, to nie to co karczma. Ale tylko nie zapomnijcie się pomodlić kładąc się spać, bo w nocy straszy, siła nieczysta tam zamieszkuje.

— Ah ty, czarci kumie, djabli cię nadali z twoją komorą! Widzisz go czem częstuję. Jedziemy do karczmy! daleko ztąd, stary?

— Blisko, moi drodzy, bardzo blisko. Idź tą oto ścieżką, jak dostaniecie się do drogi, jazda potem na lewo, tam po wiorście zaraz karczmę ujrzycie.

— Jedziemy — odezwali się oprycznicy.

Wiaziemskij leżał ciągle jeszcze bez znaku życia. Chłopi ostrożnie go nieśli.

Oprycznicy wsiadłszy na koń pojechali za nim.

Gdy ucichł już w lesie wszelki głos ludzki, starzec otworzył młyn. Potem nasłał w kącie świeżego mchu, rozpalił łuczywo i postawił przed Heleną drewnianą miseczkę z miodem i kromkę chleba.

— Jedz, niech ci będzie na zdrowie, bojarko — powiedział nisko się kłaniając — zaraz ci winka przyniosę.

I pobiegł jeszcze raz do młyna i przyniósł dużą flaszkę a także gliniany kieliszek.

— Twoje zdrowie bojarko!

Starzec, jako gospodarz, pierwszy wypróżnił kieliszek.

Wino rozwiązało mu język.

— Wypij bojarko, nie masz się kogo bać teraz. Oni szukają karczmy. Znajdą lub nie, tutaj nie wrócą, nie na taką ja ich drogę wyprawiłem, by z niej do mnie dostać się mogli nazad, he! he! Ale dla czego to, bojarko, winka nie kosztujesz?... A wreszcie nie kosztuj, to kiepskie wino, ja ci przyniosę drugiego!

Młynarz znów pobiegł, i teraz wrócił z gąsiorem pod pachą i ze srebrnym kubkiem w ręku.

— To winko, co to za winko — mówi przechylając gąsior nad kubkiem — to winko podarował mi dobry człowiek, nazywa się Pierścień. He! he! tu mieszka dużo dobrych ludzi w lesie, wszyscy oni są ze mną w zgodzie. Słuchaj, bojarko, twoje zdrowie, he! he! Za zdrowie księcia... kniazia, to jest nie tego a Srebrnego, daj mu Boże zdrowie! widzisz jak go porąbał, tego, to jest Wiaziemskiego! A bojarzyn Drużyna Andreicz, he! he! jego zdrowie bojarko! Potrzymam cię jeszcze ze dwa dni w ukryciu, a potem idź sobie gdzie ci się podoba; chociaż do Drużyny Andreicza, albo do Srebrnego, a mnie do tego nic! Twoje zdrowie!

Dziwnie i przykro odezwały się w duszy Heleny słowa pijanego młynarza. Zdawało się, że ten wiedział najskrytsze jej myśli i czytał z jej serca. Łuczywo wetknięte w ścianę jasnym płomieniem oświetlało mu twarz, a para ócz, choć zamglonych, na wskroś przenikały Helenę. Znów zrobiło jej się strasznie i poczęła się modlić.

Starzec wstał i potykając się a podskakując wyszedł z komory. Helena ze strachem zamknęła drzwi za nim. Długo młynarz rozmawiał jeszcze sam z sobą. Potem głos mu począł słabnąć, położył się na ziemi i wkrótce rozległo się jego chrapanie, które przez całą noc wtórowało kołu młyńskiemu.

XVIII.

Stary znajomy.

Na drugi dzień po najeździe na dom Morozowa, podstarzały już dobrze jeździec człapał na wronym koniu przez ciemny bór. Co chwila zdejmował czapkę, do szyi końskiej się zginał i w coś się pilnie wsłuchiwał.

— Stójno Kawko, — szarpnął nagle lejce — teraz mi się zdaje że coś słyszę! Ach stójże spokojnie, kura cię!... I rzeczywiście słyszę... to nie szum liści... to młyńskie koło! Widzisz go, gdzie to się z młynem schował! Oho! poczekaj, teraz odemnie nie uciekniesz, kura cię rodziła!

Tu Micheicz, jakby w obawie powtórnego zbłądzenia, puścił się galopem w tę stronę, zkąd go szum dolatywał.

— No, chwałaż Ci Panie Boże! — odetchnął swobodnie, gdy z pomiędzy drzew dostrzegł kręcące się koło — ledwiem dopędził, a tylko, tylko com się nie zamęczył: to przed tobą szumi, to znów za tobą i rób co chcesz! Ah, otóż i młyn! To myśmy widać z bojarem z tamtej strony przyjechali tej nocy gdy nam opryszki wskazywali drogę. Ale jakże to znów! Wtedy koło było z prawej strony, a teraz z lewej: komora stała oknem do młyna, a drzwiami do lasu, a teraz stoi oknem do lasu, a drzwiami do młyna! Tfu! a co, nie mówiłem, co to za młynarz? Czarownik bestyja! Nie darmo też cały dzień krążyłem koło tego miejsca! Gdyby nie dla bojarzyna, za nic w świecie bym tu nie przyjechał.

Micheicz zsiadł z Kawki, przywiązał ją u drzewa i podszedłszy do młyna, zapukał do drzwi.

— Gospodarzu! hej gospodarzu!

Nikt nie odpowiadał.

— Hej tam, gospodarzu! — powtórzył głośniej.

I znów nikt się nie odezwał.

Micheicz próbował pchnąć drzwi — były zamknięte.

"Co ten siwy djabeł! śpi czy udaje?" — pomyślał i z całej siły jął grzmocić w drzwi nogami i rękami. Młynarz ani pisnął. Micheicz wpadł w złość.

— Hej, chrzanie, wyłaź, bo ogienku podłożę!

Teraz dopiero rozległ się kaszel i przez niewielki otwór nad drzwiami wyjrzała biała broda i twarz pokryta zmarszczkami, pomiędzy któremi błyszczała para kocich oczu.

Micheicz zląkł się nieco młynarza.

— Jakże się masz, gospodarzu, — rzecze głosem pełnym szacunku.

— Pan Bóg z tobą — odpowiedział młynarz — czego ci trzeba, dobry człowieku.

— Czyś mnie nie poznał, gospodarzu? przecież ja niedawno nocowałem u ciebie z bojarzynem.

— Z kniaziem! jak to nie poznał? poznałem! Cóż, bracie, z czem Bóg prowadzi?

— Wyleź no gospodarzu sam, albo mnie wpuść, boś się schował jak sowa do dziupli, a taka rozmowa to na nic.

— Poczekaj no bracie, niechno tylko zboża podsypię, zaraz wyjdę do ciebie.

— Chciałbym ja wiedzieć jakiego ty zboża podsypiesz, czarci kumie? — mruknął sobie na to pod nos Micheicz — mi się zdaje ty mielesz kości żydowskie dla wiedźm! Tutaj nikt do ciebie nie przyjedzie po zboże! — miejsce takie straszne!

— Masz mnie, braciszku, wyszedłem i ja do ciebie, rzekł młynarz szczelnie zamykając drzwi za sobą.

— Ledwie jakoś wyszedłeś, mój gospodarzu, tak długoś się wzdrygał.

— A co mój złoty, przecież nie mieszkam gdzie na rynku. Nie można każdemu otwierać. Zkąd mogę wiedzieć, czy ma pod połą chleb święty czy kamień?

"Widzisz go, świętoszek," pomyślał znów Micheicz, "udaje, że rozbójników się boi, a chyba nie znalazłbyś djabła leśnego, któremu by do chrztu dziecka nie trzymał!"

— No, ale powiadaj braciszku, a ja będę słuchał, czego chcesz ode mnie?

— Posłuchaj gospodarzu: Bieda się stała, gorsza niźli śmierć! Złapali opętani opryczniсy mego bojara, powieźli go do Słobody, siedzi pewnie teraz w ciemnicy i martwi się biedaczysko; a za co siedzi — jednemu Bogu wiadomo; nie uczynił nic złego, ni przed carem ni przed Bogiem; ujął się tylko za prawdą, za bojara Morozowa i jego bojarkę, gdy te podlecy, podczas uczty, na dom napadli i do szczętu zniszczyli.

Oczy młynarzowi dziwnie się jarzyły.

— Oh, oh! ah! — westchnął — źle mój drogi, źle drogutki! źle karasiowi jak w męty wpadnie, źle księciu twemu w ciemnicy siedzieć, źle Morozowowi bez młodej żony, a jeszcze gorzej Wiaziemskiemu za cudzą żonę!

— A ty zkąd wiesz że Wiaziemskij uprowadził żonę Morozowa! Przecież ja ci nic nie mówiłem.

— Eh mój drogutki, nie tylko o tem można wiedzieć co mówią; nieraz w lesie daleko stuknie — blisko się usłyszy. Jak pod kołem wody ubyło — znaczy, susza w okolicy na jakie sto wiorst i zboże się nie urodzi, a nasz brat stary żyje sobie, a milczy i słucha jak trawa rośnie i za ucho się trzyma. Micheicz słuchał z wyłupionemi oczyma, ale nic nie mógł zrozumieć z słów młynarskich.

— Cóż gospodarzu, nie wiesz jak pomódz bojarowi? Ja ciągle myślałem, kabały stawiałem i nic nie wymyśliłem. Pójdę, mówię sobie w końcu, do dobrego człowieka i o poradę spytam. A przyznać ci się i ten zuch, który nas do ciebie przyprowadził, ciągle mi stał na myśli. Mówił mi wtedy, jeśli będę potrzebnym twemu panu, to przyjdź do dziadzia, do młyna i spytaj go o Waniuchę Pierścienia, a ja, mówił, gotów jestem życie oddać za twego bojarzyna. Po to przyjechałem do ciebie, ucz jak ratować, a nauczysz — nie zapomni o tobie kniaź Nikita Romanycz i ja mizerak będę twoim sługą.

I w tej chwili dodał w myśli: "Zapadłbyś ty się w ziemię, kura cię rodziła!... Komu to tu trzeba się kłaniać!...

Zaś młynarz odrzekł:

— Cóż bratuniu drogi, czemu nie spróbować zaradzić złemu? Sprawa kiepska, nie ma co mówić, ale zdarza się przecież, że i całe ziarno z pod żarna wyskoczy; zależy, jakie kto ma szczęście.

— To tak, mój gospodarzu, jak szczęście — to i kogucik jajka zniesie, a jak nieszczęście — i chrabąszcz ubodnie. Biję ci jednak czołem, powiedz co czynić?

Młynarz nie słuchał Micheicza. Nic już nie mówił, mruczał jeno coś pod nosem. Wargi mu bez ustanku się ruszały, a zamglone oczy, zdawało się, nic nie widziały.

— Dziadziu, hej dziadziu! — tu Micheicz poruszył go za rękaw.

— Hę, odezwał się młynarz, i spojrzał na Micheicza, jakby go teraz dopiero dostrzegł.

— Co ty mruczysz, dziadziu!

— Eh bratuniu, dużo się słyszy, mało mówi. Idź teraz mimo tej oto sosny. Idź ciągle prosto, wiele spotkasz różnych ścieżek i w prawo, i w lewo, ale nie zbaczaj; przejedziesz z pięć wiorst, ujrzysz z boku chatkę, w niej nie ma żywej duszy. Poczekaj tam do nocy, przyjdą dobrzy ludzie, od nich się więcej dowiesz. A z powrotem zajedź do mnie, będziesz miał robotę: przyleciał złoty ptak do klatki, odwieziesz go do króla Dalmatki.

I nie czekając na odpowiedź, starzec wszedł do młyna i zamknął drzwi za sobą.

— Dziadziu! — krzyknął za nim Micheicz — powiedz no rozumnie, co to za ludzie, co za ptak?

Młynarz ani się odezwał.

"Widzisz, kura go rodziła! — pomyślał Micheicz — dokąd to wysyła! Pięć wiorst jedź, spotkasz chatkę, czekaj w niej do nocy, a potem, bies wie, kto przyjdzie, więcej powie! Posłałbym ja tam ciebie samego, chrzanie jakiś! Żeby nie mój bojarzyn, dałbym ja ci! Widzisz, jaki mi! Tfu! No, Kawko, trudna rada, chodźmy szukać djablej chatki!

Zaczem, wsiadłszy na koń, gwizdnął i puścił się w drogę przez młynarza wskazaną.

XIX.

Wdzięczny.

Późno już było, gdy Micheicz dostrzegł na uboczu czarną i zakopconą chatkę, raczej do grzyba robaczywego niźli do ludzkiego mieszkania podobną.

Słońce zaszło. Mgła unosiła się nad wysoką trawą niewielkiej polany. W powietrzu czuć było świeżość i wilgoć. Ptaki przestały szczebiotać, niektóre tylko rozpoczynały jeszcze tu i owdzie nocną piosnkę, a nieskończywszy jej zasypiały na gałęziach.

Lecz i te wkrótce zamilkły, i wśród ogólnej ciszy słychać było jeno dźwięczny szmer niewidzialnego strumyka i kiedy niekiedy brzęczenie wieczornego chrząszcza.

— Oho! dokąd to zajechaliśmy — rzekł do siebie Micheicz w koło się oglądając — ani żywej duszy! Ciekawym kto taki przyjdzie, jaką da radę, poczekam! No a jeżeli, uchowaj Boże, przyjdzie taki, że.... tfu!... dałbym ja temu młynarzowi, gdyby nie to, że o pana idzie!

Micheicz zlazł z siodła i spętawszy Kawkę, na bożą wolę ją puścił.

— Szczyp sobie trawkę — rzekł — a ja wejdę do izby, jeżeli drzwi nie zamknięte, zobaczę czy nie ma czego przekąsić, bo głód — nie ciotka.

Tu kopnął nogą niziutkie drzwi. Dziwnie, niby dziecięcy płacz, rozległo się ich przeciągłe skrzypnięcie w tem bezludnem miejscu, a gdy na pętlicy się okręciwszy uderzyły w ścianę, w nos buchnął Micheiczowi zapach, jakoby stęchłego dymu. Stary strzemienny schylił się i wszedł do ciemnej izdebki, a ręką namacawszy kromkę chleba na stole, wnet się do niej zabrał. Potem podszedł do komina, w popiele pogrzebał i znalazł tam gorące węgle, które rozdmuchał i z ledwością zapalił łuczywo na ławce leżące. Przy ogniu łatwo mu było dostrzedz różnego rodzaju ubrania porozrzucane na piecu, a między innemi atłasowy kaftan, któregoby i sam bojarzyn się nie powstydził. Na ścianie wisiała misiurka, złotemi gwoździkami nabijana. Największą jednak uwagę Micheicza zwrócił cały zczerniały od dymu św. obraz, który stał w kącie. Obraz ten od razu pojednał go z niewiadomymi gospodarzami. Micheicz kilka razy się przeżegnał, poczem zgasił łuczywo, wlazł na piec i zachrapał.

Spał słodko; aż tu naraz od niespodziewanego kułaka w bok spadł na ziemię.

— A to co? — krzyknął przebudziwszy się, już na gołej ziemi — kto zaczyna? uważaj, kura cię...!

Przed nim stał chłop z kędzierzawą brodą, szerokim nożem za pasem; ten poczęstować był gotów Micheicza drugim kułakiem, ale mu przeszkodził inny drab, któremu ledwo puszczały się włosy pod nosem.

— Nie rusz go! co on ci zrobił, hę? — przyczem odepchnął plecami towarzysza, a sam na Micheicza wyłupił oczy. — Nie widzisz, że siwy! — zauważył z jakiemś uszanowania godnem zdziwieniem.

— A ty, niedźwiedziu, co się tak za nim ujmujesz — krzyknął pierwszy — żali on ci brat, żali swat?

— A tem mi brat, tem mi swat że stary. Widzisz że siwy, dla tego stary! Ja ci mówię odłaź, bo będę zły!

Głośnym śmiechem ryknęli na to inne chłopy, wchodzący w tej chwili do izby.

— Ej, Chłopko, strzeż się, — jeden z nich się ozwał. — Jak się Mitka rozgniewa, będzie źle! z nim bracie nie zaczynaj!

— Bies chyba z nim zacznie! — zaklął Chłopko, ustępując z drogi.

Nowi goście obstąpili Micheicza, nie bardzo czule nań poglądając.

— Zkądeś bracie tutaj wziął — spytał jakiś, patrząc mu prosto w oczy.

Micheicz przez ten czas dobrze już był się ze snu rozcucił.

“Ehe pomyślał, toć to zbójniki!” a do nich tak się ozwał: “Jak się macie, dobrzy ludzie, a gdzie jest ten, co się zwie Waniuchą Pierścieniem?”

— Toś ty do atamana? było ci od razu gadać, nie skosztowałbyś sójki!

— Oto i ataman — dodał inny, pokazując na Pierścienia, który tylko co wszedł w towarzystwie starego Jastrzębia.

— Atamanie — krzyknęli rozbójnicy — przyszedł jakiś człowiek, o ciebie się pyta.

Pierścień rzucił bystre spojrzenie na Micheicza i od razu go poznał.

— Jakże się masz towarzyszu? — rzekł — co porabia jego książęca mość od czasu, jakeśmy opryczników Maluty przetrzepali? Mieli oni za swoje na tej Djablej Kałuży! szkoda tylko, że Maluta i Łukjanycz uciekł, i że ten niedźwiedź Mitka Chomiaka prześlepił; nie wyszliby cało z rąk moich! A cóż car? musiał dopiero się ucieszyć, jak carewicza ujrzał, nie wiedział chyba jak dziękować kniaziowi!

— Tak, car Iwan Wasiliewicz, daj mu Boże zdrowie! dziękował memu bojarowi, ale psy na kniazia szczekały. Nie dogodził widać Nikita Romanowicz opętanym opry-

cznikom. Prawda, że nie mają ani za co nas lubić; najprzód w Miedwiediewce uczciwie ich się wymłóciło, a potem Malucie pysk także nie źle u Djablej Kałuży nadwerężyło, a wczoraj znów w Moskwie bojarzyn ich jeszcze lepiej pochlastał. A te opętańcy jak ich kupa nie wpadła na jednego! to go powalili, związali i do Słobody uprowadzili. To wszystko byłoby jeszcze nic, tylko ten Maluta, psi syn, nałże na nas przed carem i zemści się na kniaziu za swój pysk!

— Hm — mruknął Pierścień — to car nie kazał powiesić Maluty! Jakże to! No, ale nie nam się mięszać w jego sprawy. A ty co myślisz bracie?

— Ja sam nie wiem co myślę, przyszedłem po poradę, we dwóch prędzej co wymyślimy. I młynarz mi do nikogo nie kazał iść, tylko do ciebie. Idź, mówił, do atamana, on pomoże, już ja przepowiadam, że mu się wszystko uda. Idź, mówił, do atamana!

— Do mnie? czyż tak? do mnie powiedział.

— Do ciebie, batiuszka, do ciebie. Idź, mówił, pozdrów go odemnie i powiedz, żeby kniazia ratował! A ja, mówił, tej usługi mu nie zapomnę. A jak nie wyratuje kniazia, mówił, różne nań spadnie nieszczęście: wyschnie mówił i cały przepadnie.

— Oj! naprawdę wyschnę? — powtórzył zasępiony Pierścień.

— Tak, batiuszka, mówił, ręce i nogi wyschną, a na głowie zrobi mu się takie... że Boże broń!

Pierścień podniósł głowę do góry i rzucił przenikliwe spojrzenie na Micheicza.

— A więc już nic nie mówił?

— Jakże batiuszka — ciągnął dalej Micheicz, poglądając z ukosa nie dymiący się garnek z zupą, który rozbójnicy właśnie na stół postawiali — jeszcze młynarz mówił: "Powiedz atamanowi, żeby cię dobrze nakarmił i napoił, a głównie, żeby kniazia ratował. Oto co młynarz mówił".

Tu starzec spoglądał na atamana, by się dowiedzieć, jakie na nim wrażenie wywrą jego słowa. Zaś Pierścień zmierzył go jeszcze przenikliwiej i od razu buchnął wesołym śmiechem.

— Eh stary, stary! to młynarz naprawdę powiedział, jeśli nie wyratuję kniazi[a] to zginę.

— Tak, atamanie.

— Chytra z ciebie sztuka mój bracie — przerwał Pierścień w ramię go uderzywszy i śmiejąc się jeszcze precz — ale nie w po-rę się wybrałeś mnie oszukiwać; siadaj le-piej oto z nami, przysuńmy się do stołu — chleb, sól — masz łyżkę, będziemy wieczerzali, a pomódz kniaziowi — to ja i bez twoich dodatków pomogę. Tylko jak tu i czem pomódz? Przecież kniaź siedzi w więzieniu!

— W więzieniu, batiuszka.

— W tem, co to obok domu Maluty?

— A rozumie się, nie w innem.

— A klucze u kogóż? U Maluty?

— A no, jakeśmy byli w Słobodzie, to widzieli jak, Maluta chodził do więzieni[a] torturować nieszczęśliwych. Klucze zawsze miał przy sobie, zaś na noc, to je carow[i] odnosił. A car, każdy wie, pod wezgłowie je kładzie.

— To i widzisz — rzekł na to Pierścień — jakiż tu djabeł twemu księciu pomoże? No, mówże sam, jaki bies mu pomoże?

Micheicz pogłaskał się po głowie.

— Przecież sam widzisz, że pomódz nie można.

— Widzę — jęknął Micheicz i rzucił łyżkę — nie powinienem i ja żyć na tej ziemi. Pójdę do bojara, złożę swą starą głowę obok jego głowy, i będę mu służył na tamtym świecie, kiedy tutaj nie mogę.

— No, no! już rozpaczać zaczął! Moż[e] przecieć jeszcze kniaź twój nie zamknięty [w] podziemiu, toć nie ma co znów tak płaka[ć] a jeżeli zamknięty, to dość pomyśleć... Sło-bodę znam na wylot, przeszłego miesiąc[a] przyprowadziłem tam niedźwiedzia, a dwo-rzec znam jeszcze lepiej, wszystkie kąt[y] wypatrzałem: może się kiedyś przydać. P[o]czekajno, daj pomyśleć.

I Pierścień się zamyślił.

— Wiem! — krzyknął nagle i wsk[o]czył z miejsca. — Dziadziu, Jastrzębiu, n[as] książę wyratował od śmierci, wyratujm[y] go i my, teraz na nas kolej! Odważysz s[ię] ze mną na trudną sprawę?

Stary rozbójnik zachmurzył się i p[...]

kręcił kędzierzawą głową.

— Co Jastrzębiu, czy na prawdę nie chcesz się odważyć?

— A co się z tobą dzieje, atamanie? czyś rozum stracił? Czyś nie słyszał, że klucze we dnie są u Maluty, a w nocy u cara pod głową? Co tu robić, łbem ściany nie przebijesz. Zginie on, to zginie, po cóż mamy ginąć za niego i my. Czy mu będzie lżej, jak z nas skórę zedrą, czy co?

— Niby ty Jastrzębiu trochę prawdy mówisz. Ale gdyby nie wyratował nas wtedy książę, gdziebyśmy teraz byli? Dyndalibyśmy na jakiej brzozie, a wiatr by z nami się bawił. A jemu jak jest teraz? Mnie się zdaje, że myśli: "ja wtedy chłopców wyratowałem, a teraz oni mnie wyratują!" A jak my go porzucimy i do kata pójdzie, tfu! powie co to za ludzie, rozbijać, grabić umieją, a dobrego to nie pamiętają! tylko, powie, krew niewinnie przelewają, a chrześcianina, to ratować nie umieją. Ja, powie, ani jednem dobrem słówkiem do Boga za nich się nie wstawię. Niech, powie sobie, na tym i na tamtym świecie przepadną! Oto, co powie kniaź!

Jastrząb jeszcze bardziej zmarszczył brwi. Wewnętrzna walka odbiła się na jego twarzy. Widać Pierścień poruszył czułą stronę w jego zczerstwiałem sercu.

Ale nie na długo. Starzec zaraz machnął ręką.

— Nie, bracie, głupstwo gadasz; nie pójdę.

— Nie, to nie — odrzekł Pierścień — poczekamy do rana, może co innego się wymyśli. A teraz, chłopcy, czas spać, kto może, niech się modli.

Tu ataman z ukosa spojrzał na Jastrzębia i widać znał jakąś starca tajemnicę, gdyż ten zadrzał, lecz by nikt tego nie zauważył, zaczął głośno ziewać, a potem śpiewać sobie coś pod nosem.

Rozbójnicy wstali od stołu. Jedni od razu położyli się spać, inni długo się jeszcze modlili przed św. obrazem. Do ostatnich należał Mitka. Zawzięcie bił czołem o ziemię i rzekłbyś, patrząc na jego dobroduszną twarz: nie zbój, gdyby go odzież i zbroja nie zdradzały.

Nie takim był Jastrząb. Gdy wszyscy już się położyli, podszedł do obrazu, kilka razy się przeżegnał, coś pomruczał, w końcu rzekł, zkrzyżowawszy ręce na piersi:

— Nie, nie mogę! A myślałem, że będzie mi lepiej dzisiaj.

Długo jeszcze słyszał Micheicz, jak stary opryszek przewracał się z jednego boku na drugi, nie mogąc zasnąć.

Przed świtem rozbudził atamana.

— Atamanie — rzekł — atamanie!

— Czego chcesz, dziadziu?

— Idę z tobą, prowadź dokąd chcesz.

— No? cóż tak prędko?

— Ot tak, spać nie mogę. Którą ja już noc nie śpię?

— A słowa nie cofniesz?

— Jak powiem — nie cofnę.

— Dobrze, dziadziu Jastrzębiu. Teraz jeszcze jednego nam trzeba. Prędko zaświta?

— Zdaje się, że niedługo.

— Warto już wstawać, Mitka! — zawołał Pierścień, przyczem uderzył go w bok.

— Hę — odezwał się ten, przecierając oczy.

— Chcesz iść z nami?

— A dokąd?

— Co ci do tego. Pytają się ciebie: chcesz iść ze mną i z dziadziem Jastrzębiem?

— A po co? — Mitka zaczął ziewać.

— Takich lubię! Idź dokąd prowadzą, a nie pytaj. Rozwalą ci łeb, nie twoja rzecz, my odpowiadamy, a tobie djabli do tego! Jak się cofniesz, powiem żeś rak!

— Nie powiesz — odrzekł Mitka i zaczął nogi obwijać onucami.

Rozbójnicy po trochu wstawali.

XX.

Weseli ludzie.

W głębokich i ciemnych lochach, których mokre ściany pleśnią były pokryte, siedział kniaź Nikita Romanowicz w kajdany na rękach i nogach zakuty, kary śmierci wyczekując. Nie wiedział na pewno ile upłynęło dni jak go wtrącono, bo światło znikąd nie wciskało się do podziemi, jeno dolatywał do ucha jego oddalony odgłos

dzwonu, z którego mógł się domyślić mniej więcej, że siedzi w więzieniu już przeszło trzy dni. Zostawiony chleb dawno już był zjadł i dzban wody wypił, a głód i pragnienie zaczynały go męczyć, gdy niezwykły szmer zwrócił jego uwagę. Nad głową księcia otwierano zamek. Zaskrzypiały pierwsze, zewnętrzne drzwi ciemnicy. Szmer rozległ się bliżej. Drugi zamek otworzono, i drugie drzwi zaskrzypiały. W końcu otworzono trzecie drzwi — i dały się słyszeć kroki spuszczających się w podziemia. Pomiędzy szczelinami ostatnich drzwi błysnął ogień; klucz zgrzytnąwszy przeraźliwie okręcił się raz i drugi, jękły zardzewiałe zasuwy i rażące światło nie dało Srebrnemu podnieść oczu. A gdy opuścił ręce, któremi mimowoli zakrył wzrok, przed nim stali: Maluta Skuratow i Borys Godunow. Towarzyszący im kat trzymał wysoko nad nimi zapalony świecznik. Maluta skrzyżowawszy ręce, spoglądał z uśmiechem na twarz Srebrnego; źrenice jego, zdawało się, to zwiększały, to się zmniejszały.

— Jak się masz, kniaziu? — rzekł takim głosem, którego nigdy jeszcze nie słyszał Nikita Romanowicz, głosem złowrogołaskawym, przypominającym krwiożercze miauczenie kota, podchodzącego do pułapki, w której siedzi złapana mysz.

Srebrny drgnął mimowolnie, lecz widok Godunowa dodał mu otuchy.

— Borysie Fedorowiczu — rzekł, od Maluty się odwracając — Bóg ci zapłać, żeś mnie odwiedził; teraz i umrzeć będzie lżej.

I książę wyciągnął doń zakutą rękę.

Ale Godunow cofnął się w tył; na chłodnej jego twarzy nie można było dostrzedz najmniejszego współczucia dla kniazia. Łańcuchy brzękły i ręka Srebrnemu znów opadła na kolana.

— Nie myślałem borysie Fedorowiczu — z goryczą powiedział — że odstąpisz mnie. A może ty się przyszedł przypatrzeć mojej śmierci?

- Na to, odpowiedział spokojnie Godunow:

— Tak, przyszedłem cię torturować razem z Grygoryem Łukjanyczem, żebyś się przyznał do winy. Odstępywać cię nie mam powodu, nigdym za tobą nie szedł; tylko znając miłosierdzie carskie zatrzymałem wtedy zasłużoną twoją karę.

Serce Srebrnemu konwulsyjnie się ścisnęło. Ta przemiana w Godunowie wydała mu się straszniejszą od samej śmierci.

— Czas miłosierdzia już przeszedł — mówił dalej Godunow — pamiętasz przysięgę, którą dałeś carowi? Poddaj się teraz jego świętej woli. Jeżeli się przyznasz do wszystkiego, nic nie utaisz, unikniesz tortur i będziesz karany prędką śmiercią. — Zaczynaj Grygorij Łukjanycz!

— Poczekaj no trochę — odrzekł Maluta z uśmiechem — ja mam z jego ks. miłością dawne rachunki. Skróć mu łańcuchy, Fomka! — rozkazał katowi.

Kat wetknąwszy natychmiast świecznik w żelazne koło do ściany wmurowane, podciągnął ręce Srebrnego wraz z łańcuchem do samego muru, tak że kniaź nie mógł niemi ani ruszyć.

Wtedy Maluta przystąpił do niego bliżej i długo patrzał nań, nie zmieniając swego uśmiechu.

— Kniaziu Nikito Romanowiczu — rzekł — nie odmów wielkiej łaski.

Tu klęknął i uderzył czołem w ziemię przed Srebrnym.

— My, kniaziu — mówił dalej z udaną pokorą — my przed twoją miłością mali jesteśmy ludzie, takich wielkich bojarów, jak ty, nigdy jeszcześmy własnemi rękami nie tracili ani dręczyli; a zabrać się do tortur, aż strach jak się boję! Bo mówią, widzisz, że to w waszych żyłach nie taka krew płynie jak w naszych

Maluta przerwał, uśmiech mu się zrobił jeszcze jadowitszym, oczy więcej się rozszerzyły, a źrenice częściej zaczęły latać.

— Pozwól kniaziu — mówił dalej, nadając swemu głosowi wyraz jeszcze większego uszanowania — pozwól przed torturą, dla dodania sobie odwagi, popatrzeć na twoją bojarską krew.

I wyjąwszy z za pasa nóż, podczołgnął się na kolanach ku Srebrnemu.

Twarz Borysa Fedorowicza była nieruchomą, rzekłbyś: z kamienia wykuta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

REINHOLD, CUDOWNE DZIECIĘ.

BAJKA.

(Ciąg dalszy.)

Niedźwiedź ten wcale nie wyglądał odstraszająco i szczególnie, a piękna kobieta z prawdziwem bawiła się z nim zajęciem i serdecznie go całowała. Przy nogach jej bawił się drugi, większy cokolwiek niedźwiadek; mrucząc pieszczotliwie, strugał sobie drewienka i od czasu do czasu wyciągał przednie łapki do młodszego braciszka jakby chciał odebrać go owej kobiecie, która i z nim łasiła się także i pieściła.

— To musi być z pewnością Wulfilda, oblubienica niedźwiedzia! — pomyślał sobie Reinhold i nie wahając się długo, wyszedł z swej kryjówki.

Wulfilda — gdyż ona to była istotnie — przelękła się bardzo, że upuściła na ziemię małego niedźwiedzia. Przyskoczyła do młodzieńca i rzekła, pełna przestrachu:

— Młodzieńcze, uciekaj! uciekaj jak najprędzej! Tu panuje niedźwiedź, który każdego człowieka, jak tylko pojawi się w jego państwie, bezwzględnie rozszarpuje!

Reinhold jednak nie usłuchał Wulfildy. Owszem najspokojniej usiadł sobie na trawniku i w krótkich, ale jędrnych słowach przekonał ją, że jest jej rodzonym bratem, a ona rodzoną jego siostrą.

— Nie ruszę się ztąd — rzekł — dopóki nie rozjaśnię twego położenia i nie uwolnię cię z pod mocy niedźwiedzia!

Strwożona siostra, obawiając się nadejścia męża, zaprowadziła go natychmiast do jaskini, drżąc wszakże na myśl, czy tylko uda się jej brata napowrót ztamtąd szczęśliwie wyprowadzić. W jaskini stały dwa łoża: jedno było z świeżego mchu i liści, na którym spoczywał niedźwiedź z swymi młodymi; naprzeciwko zaś uderzała oko wspaniała, pańska łożnica, z baldachimem i zasłoną z drogiego jedwabiu, na której spała Wulfilda. Reinhold musiał się ukryć pod jej łóżkiem i zachowywać się tak, aby nie zrobić żadnego szmeru ni stuku, bo gdyby go niedźwiedź odkrył, rozszarpałby go natychmiast w kawały; u niego nie było pokrewieństwa i nieznaną była gościnność.

Zaledwie rycerz wsunął się pod łoże, wszedł niedźwiedź do jaskini mrucząc i dziko wąhając do koła. Znalazł on już w lesie rycerskiego konia i pożarł go, ztąd spodziewał się znaleźć i samego rycerza.

Wulfilda drżąc, siedziała z ściśniętem sercem na łożu, gdyż poznała, że pan niedźwiedź w nie najlepszym jest humorze. Głaskała go też z większą niż zazwyczaj pieszczotą, przymilała mu się z słodkim uśmiechem, aby go tylko odwieść od podejrzenia, ale ten dzisiaj wcale na pieszczoty nie zważał.

— Mięso ludzkie! — mruczał groźnie do siebie. — Mięso ludzkie czuję tutaj!

— Ależ serce niedźwiedziu, mylisz się, uspakajała go Wulfilda — zkądżeby się tutaj wziął człowiek? Do państwa twego nikt żywy przyjść się nie odważy. Uspokój się i bądź dobrej myśli i zamiast niepotrzebnie się złościć, opowiedz mi lepiej, co nowego zaszło w twem państwie!

— Otóż to właśnie, że ważne zaszły wypadki! — odparł gniewnie niedźwiedź.— Dziś o poranku napotkałem w mym lesie trzech knechtów, którzy głośnem nawoływaniem kogoś, ośmielali się przerywać spokój i ciszę mego królestwa. Zgniotłem ich na miazgę. Wracając tutaj — niedaleko, może z dwieście kroków od jaskini, dostrzegłem przywiązanego przy drzewie konia. Koń to był rycerski. Ten również padł pod moją łapą. Ale jeżeli był koń, musi być gdzieś i rycerz, który na nim przyjechał.

A tu właśnie czuję mięso ludzkie — pewnie gdzieś skrył się przedemną!

I mrucząc to, śpiegował dalej po wszystkich kątach jaskini, ku śmiertelnej trwodze Wulfildy, która prosiła go, by raczej spać się położył. Niedźwiedź odepchnął ją od siebie i zbliżył się do jej łóżka. Wtenczas Wulfilda zdobyła się na ostatni krok męztwa; porwawszy go za paszczękę, kopnęła silnie w bok nogą i surowym głosem rozkazała mu w tej chwili się położyć. Siła przemogła siłę i zwyciężony niedźwiedź odstąpił od łóżka Wulfildy i położył się na swoje posłanie. Tak często samym tylko wzrokiem można najsroższego złagodzić drapieżcę! — W parę chwil słychać już było głośne chrapanie niedźwiedzia. Spał jak kamień bez czucia. Niebezpieczeństwo minęło. Wulfilda podała bratu wieczerzę i wino, czem posiliwszy się, również zasnął tak twardo jak niedźwiedź i również jak on, głośno charczał i chrapiał.

O świcie przebudził się Reinhold, ale jakież było jego zdziwienie. Leżał na wspaniałem łóżku, które stało samo w prześlicznie i bogato ozdobionej komnacie. Na złotych prętach zwieszały się ciężkie jedwabne kotary u łóżka, okien i drzwi, gotycką robotą rzniętych z kości słoniowej. Pościel obleczona była w atłasy, a w poduszkach było miękutkie pierze gęsi dzikich. Samo łóżko rzeźbione z polisandru, zdobiły ogromnej ceny drogie kamienie. Przy nogach stała kryształowa, olbrzymia czasza, na marmurowej kolumnie — a w niej paliły się wonne kadzidła. Ściany pokoju wykładane były zielonym aksamitem, na którym świeciły się srebrne kwiaty i dyamentowe gwiazdy. Z pułapu, rzeźbionego ze srebra jak koronka, zwieszał się wspaniały z górskiego kształtu świecznik, z przeźroczystemi jak szkło świecami. Na środku pokoju stał szeroki stół z kanaryjskiego marmuru, na którym wśród przecudnych kwiatów, stały w złotych, srebrnych, koralowych i kryształowych misach najprzedniejsze południowe i północne owoce, a w butelkach pierwsze zagraniczne wina. Obok owoców i win stały jeszcze talerze z ciastami i misy z przeróżnem mięsiwem. Do koła pokoju biegły rzędem, aksamitem wyściełane ławy, a przy stole ustawione były aksamitne fotele. W oknach wisiały złote klatki z śpiewającem ptastwem. Posadzkę marmurową nakrywał perski, strzyżony jeden olbrzymi dywan. Słowem wszystko urządzone z najwyższym gustem i przepychem. Złoto, srebro, drogie kamienie, kość słoniowa, aksamity i jedwabie, barwne kwiaty i obrazy malowane na szybach — wszystko tworzyło zachwycającą tęczę bozkich kolorów, od której oko nie mogło się oderwać.

Reinhold przecierał sobie oczy, myśląc, że marzy, ale obraz pozostał niezmienny. Gorączkową ręką chwycił za dzwonek, który leżał na szafeczce przy łóżku i silnie zadzwonił. W tej chwili zjawił się świetnie strojny lokaj, zapytał się, czego żąda i oznajmił, że siostra jego Wulfilda i mąż jej Albert oczekują go z utęsknieniem.

Młodzieniec nie potrzebował się teraz lękać swego szwagra, gdy z niedźwiedzia przemienił się w pięknego, szlachetnych rysów i postawy rycerza, a dwa małe niedźwiadki w ślicznych małych chłopczyków, ponura zaś jaskinia we wspaniały pałac, pełen kosztownych sprzętów, strojnych hajduków, laufrów, służby i wszystkiego, czego tylko dusza zapragnąć mogła.

Albert i Reinhold, gdy jeszcze nie upłynęła godzina, byli już z sobą na stopie szczerej i wylanej przyjaźni. Opowiedział mu wtenczas zacny mąż Wulfildy, że przeznaczeniem losu, musi wraz z dziećmi na 6 dni przemieniać się w niedźdwiedzia, siódmego dopiero dnia przybiera postać ludzką — i tak ustawicznie. Dwór jego przeobraża się w łosie, lisy, kuny, a panie i panny dworu w sowy, nietoperze i inne stworzenia. Jedna tylko Wulfilda nie podlega temu ogólnemu prawu i pozostaje niezmienioną. Z takiego to wolnego siódmego dnia skorzystał Albert i porwał Wulfildę, która z początku nad położeniem swem bardzo płakała, teraz jednak najzupełniej do niego się przyzwyczaiła. Oboje kochają się serdecznie i każdy siódmy dzień ani na krok od siebie nie odstępują.

Lżej się zrobiło na sercu Reinholda, skoro dowiedział się o tajemnicy i poznał, że położenie Wulfildy wcale nie jest przykre, owszem jak najlepsze i pewnym otoczone urokiem.

Już dzień miło spędzony razem schylał się ku zachodowi, gdy Albert coś szepnął żonie do ucha. Był to właśnie czas, w którym nadchodziła nieszczęsna godzina metamorfozy, w której Albert zamieniał się w strasznego niedźwiedzia, nie szanującego wówczas, prócz jedynej żony, nikogo. Reinhold, jeżeli nie chciał przeto narażać się na śmierć pewną musiał mimo chęci i woli, co najrychlej krótko trwały zamek Alberta opuszczać.

Odchodząc ze smutkiem i z niechęcią z gościnnych progów, zapytał się Reinhold czy mógłby czem zniszczyć siłę niewygodnego czaru.

— Nic z tego, mój bracie" — odparł Albert, a podawszy mu 3 włosy ze skóry niedźwiedzia — dodał:

— Nie odmawiaj im wartości; jeżeli kiedy znajdziesz się w przykrem położeniu, potrzyj tylko te sierci w swych rękach!"

Pożegnawszy się z szwagrem i siostrą otoczony hufcem rycerzy, odjechał Reinhold poszóstną karetą ze zamku, pędem strzały zbliżając się do leśnego zamczyska. Gwiazdy świeciły jeszcze na niebie, ale skoro tylko pierwszy blask porannej zorzy osłabił ich światło, zgasły także pochodnie drużyny i młodzieniec nasz, nie wiedząc sam, jak się to stało, znalazł się na ziemi. Oglądnąwszy się poza siebie zobaczył sześć mrówek pędzących napowrót do lasu z łupiną orzecha. Z tego dopiero przekonał się, że godzina metamorfozy nadeszła.

Trzy dni krążył Reinhold po okolicy — nic nie spotkało go ciekawego. Czwartego dopiero dnia spostrzegł olbrzymiego orła, jak spuszczał się na gniazdo, zbudowane na konarze dęba. Rycerz domyślił się w nim drugiego szwagra i co tchu ukrył się przed jego dziobem i szponami w gęstwinie zarośli.

Po siedmiu godzinach orzeł odleciał z gniazda i wtenczas dopiero odważył się Reinhold wyjść z swego ukrycia. Stanąwszy pod dębem zawołał głośno po imieniu na siostrę. A gdy Adelajda zdziwiona tem wołaniem wyszła, rycerz oświadczył jej, że jest jej bratem.

— Ach, jeżeli bratem moim jesteś — odrzekła Adelajda — bywaj mi! Jestem teraz osamotnioną zupełnie, męża nie ma w domu. — Mówiąc to, spuściła na dół z drzewa jedwabną drabinkę, po której wydostał się Reinhold na orle gniazdo. Było one obszerne i silne, a siostra jego siedziała na tronie, nakrytym ścianami woskowemi dla zabezpieczenia od wilgoci; wewnątrz ściany te wybite były atłasem. Na łonie trzymała jaje orle, które wysiadała.

Mąż jej, Edgar, przez sześć tygodni zaklęty był w orła, siódmego tygodnia powracała mu postać ludzka. Jako orzeł, nie znosił niczyjego towarzystwa i wszystkich, z wyjątkiem swej żony, rozszarpywał na drobne sztuki olbrzymiemi szponami. Właśnie dzień przedtem padli jego ofiarą trzej giermkowie, którym wyrwał z piersi serce i wydziobał oczy. Aby więc ustrzedz brata przed niebezpieczeństwem, ukryła go Adelajda w dziuplu starego drzewa, gdzie wygodnie mógł się położyć i tam, zaopatrując go codziennie w smaczne potrawy i napoje, kazała mu spokojnie owych sześć tygodni przeczekać, co też Reinhold, nauczony już z doświadczeniem, chętnie uczynił, tem bardziej, że gdy orła w gnieździe nie było, a nie powracał on nigdy wcześniej, jak w siedm godzin — mógł swobodnie narozmawiać się z siostrą.

Wreszcie nadeszła godzina przemiany. Gniazdo zamieniło się na wspaniały zamek, podobnie jak to było z jaskinią niedźwiedzia — i nie brakowało w nim przez siedm dni niczego, o czem tylko zamarzyć można.

Edgar zaprzyjaźnił się z Reinholdem równie serdecznie, jak Albert i cały tydzień ani na krok go nie odstępował, urządzając ku jego czci zamkowe uroczystości i książęce biesiady.

Wieczór dnia siódmego wyraził Reinhold chęć powrotu, gdyż nie chce być przytomnym przemianie. Edgar pożegnał się z nim ze szczerem uczuciem żalu. Odchodząc zapytał go szwagier, czyby nie mógł w jaki sposób zmienić losu, któremu podlega. Ale Edgar odrzekł, smutno potrząsając głową:

— Nie, kochany bracie; aż dotąd musimy żyć pod zaklęciem, dopóki nie znajdziemy klucza tego czaru. Jeżeli klucz się znajdzie — reszta sama się uskuteczni. —

Tu dał także Edgar Reinholdowi trzy pióra orle, zalecając mu czynić to samo, co z włosem niedźwiedzim.

O północy odjechał Reinhold ze zamku, który nad ranem zniknął jak mgła górska, jak optyczne zjawisko fata morgany. Wspaniałe alee zamkowe, zamieniły się teraz w krzaki, nagie skały, na których ledwie mech się pokazywał. Dokoła rozłożyła się znowu dawna martwa i smutna pustka, nie przerywana żadnym głosem natury. Wiatr nawet nie poruszał drzewami.

Wędrując po tej pustyni, doszedł wreszcie nasz rycerz do małego jeziórka, gdzie spodziewał się spotkać z swą trzecią i ostatnią siostrą.

Trzy dni musiał brnąć przez moczary i bagna, zanim dostał się do właściwego brzegu, zkąd mógłby już dojrzeć mieszkania porwanej Berty. Ale nadarmo wytężał wzrok i brzeg cały w około obchodził — nie spotkał nigdzie najmniejszego budynku. Na nic się zdały także wszelkie wołania — nikt nie odpowiadał. Bez skutku również pozostał rozkaz dany rybom, aby siostrze oznajmiły przybycie brata; głupie ryby nie zrozumiały go wcale.

— Muszę ją znaleźć — rzekł do siebie Reinhold, a ponieważ umiał pływać doskonale, odrzuciwszy broń i zbroję. z mieczem tylko w ustach rzucił się do wody. Po dobrej godzinie dostrzegł z dala lekką mgłę podnoszącą się w jednem miejscu jeziora; podwoił siły i w stronę tej mgły się skierował. I oto znalazł wydrążany słup z górskiego kryształu, który nieco wychylał się z toni, ubrany w wonną mgłę jak w muszliny. Reinhold domyślił się zaraz, że to brama wchodowa do mieszkania Berty. Nie namyślając się długo, wszedł przez otwór do wewnętrza i istotnie nie omylił się. Była to komnata siostry, która właśnie siedziała przy śniadaniu; na kominku paliło się drzewo sandałowe. Nie mało przelękła się tak nagle zaskoczona niewiasta i upadła w krzesło bezsilna, ale Reinhold przywiódł ją do przytomności, mówiąc:

— Nie lękaj się, jestem twym rodzonym bratem. Przyszedłem oswobodzić cię z zaklętego miejsca!

Berta usłyszawszy to, ucieszyła się bardzo i przywitała go serdecznie, prosząc go jednak na wszystko w świecie, aby się co rychło oddalił, gdyż inaczej ściągnie wielkie niebezpieczeństwo na siebie i na nią; mąż jej bowiem, który jest wodnym potworem i tylko każdego siódmego miesiąca postać ludzką przybiera, ale teraz właśnie w potwora się zamienił, gotów go pożreć, gdyby go zobaczył. Nikomu z żyjących nie wolno wejść w granicę jego państwa, a każdy śmiałek pada śmiercią; jedna tylko ona nie podlega temu surowemu prawu. Wprawdzie Reinhold polegał silnie na swoim mieczu i siostrę starał się uspokoić, ale ta w żaden sposób nie chciała się na to zgodzić.

Reinhold musiał więc przystać na żądanie siostry i przyjąć od niej kryjówkę, w którejby spokojnie i bezpiecznie oczekiwał dnia przemiany.

— Widzisz przecież — rzekła strwożona Berta — że mieszkanie całe jest z kryształu, i jak powietrze przezroczyste; w nim więc ukryć byś się w żaden sposób nie mógł, bo zostałbyś dostrzeżony i odkryty. Przeznaczyła więc na czasowe jego mieszkanie komórkę z drzewem, poza którym Reinhold ukryć się być zmuszonym. Berta ubrała się jak najpiękniej, aby przypodobać się mężowi — potworowi i w ten sposób odwrócić jego czujność i uwagę na kryształowy pałac, który on codziennie raz w koło okrążał.

Szum fal i coraz bardziej wzrastające wzburzenie wody zapowiadało przyjście okropnego potworu. Z szybkością strzały zbliżył się do pałacu, a zobaczywszy żonę wydał głos przenikliwy i szum wody w górę wyrzucił. Na twarzy Berty malował się przestrach, gdyż nie była ona z tych kobiet, które mimo wewnętrznego smutku i bojaźni są wesołe i spokojne, a mimo nienawiści i gniewu w sercu fałszywą okazują serdeczność. Król jeziora zauważył to zaraz i podejrzenie zakradło mu się do serca. Z łoskotem i gwałtownością, w dzikich rzutach ciała, opłynął w koło zamek kryształowy i z taką siłą wyrzucając co chwila z paszczy słupy wody, jakby go chciał zgruchotać. Berta drżała na całym ciele. Na szczęście potwór nie dostrzegł niczego i spokojniejszy już powrócił napowrót.

Odtąd podobne czaty powtarzały się trzy razy dziennie, ale zielone oczy potworu, które zdawały się góry na wskroś przenikać, jakby nowem oczarowanem zaklęciem, nie dostrzegły ukrytego Reinholda. Tak upłynęło długich sześć miesięcy. Siódmego na pełniu księżyca nadeszła wreszcie szczęśliwa godzina przemiany i Reinhold znalazł się nagle w prześlicznym pałacu na uroczej wyspie jak zasianej cudnymi kioskami, pałacykami i wilami; wszystkie te budynki wznosiły się wśród wspaniałych ogrodów, pełnych kwiecia i drzew różnego gatunku; na kanałach przerzynających te ogrody, kołysały się zgrabne złocone czółna, a na szybie zacisznych stawów pływały całe stada białych łabędzi. Tu i ówdzie perliły się w słońcu olbrzymie fontanny i ze skał rzucały się w przepaść z szumem wodospady — wszędzie czuć było życie, niczem niezamącony spokój i wesele. Piękniejszej okolicy nie mógł Reinhold nawet w marzeniach swoich odnaleźć, a główny pałac małżonka Berty cały z kryształu i z srebra, strzelających w niebo i tysiącem iglicowatych wieżyczek, mieniących się w promieniach słońca wszystkimi kolorami tęczy, szlachetnych kruszców i drogich kamieni, nie miał sobie równego. Otaczały go w okół olbrzymie palmy o szmaragdowych koronach i złotawej korze; na jeziorku zaś przed tarasem zamkowym widziałeś wszystkie możliwe rośliny wodne o liściach jak wachlarze szerokich, jak miecze giętkich, wązkich i kończystych, jak frendzle nastrzępionych — wodne lilie o białych kielichach i wspaniałe wieńce śnieżnych kwiatów królowej wód, victorii regii. W zamku tym mieszkał straszny przemieniony potwór — a obecnie piękny wspaniałej postawy i szlachetnego oblicza rycerz Ufo, mąż siostry Reinholda, Berty.

Reinhold zaprzyjaźnił się teraz ze szwagrem swym, którego niedawno tak bardzo się obawiał, jak najściślej i serdeczniej; Ufo urządził na jego cześć świetne uczty i rycerskie zabawy, polowania w obszernych zwierzyńcach i łowy ryb na największych wyspy jeziorach. Od rana do późnej nocy zamek rozbrzmiewał od muzyki i śpiewów od wesołych okrzyków i głośnych toastów. A było w zamku wszystko, czego tylko dusza zapragnąć mogła — ptasiego mleka chyba tylko zabrakło. Reinhold ani minuty nie pozostawał w osamotnieniu — rozrywano go na wszystkie strony. Niczyje jeszcze towarzystwo nie było mu tak przyjemnem jak szwagra Ufa, który okazywał się dlań jak najuprzejmiejszy i najszczerszy; obdarzony przytem bystrem umysłem, fantazyą i wybornym humorem, umiał on uweselić mu każdą chwilę. Jednak miły ten pobyt u gościnnych krewnych miał się wkrótce zakończyć a piękny, rozumny i uprzejmy Ufo zamienić się w przestraszającego wodnego potwora.

Reinhold pożegnał się ze szwagrem, który prosił go, aby natychmiast powracał do domu, gdyż niespokojni o niego rodzice szukają go wszędzie. Jako talizman wielkiej siły obronnej w potrzebie dał mu Ufo trzy łuski rybie, polecając mu to samo czynić, co z włosem niedźwiedzia i z piórem orła. Wspaniałe bogato ozdobne czółno przybiło z nim do brzegu i w tej chwili znikło. Zniknął również piękny zamek i wyspa cała jak sen rozmarzonego młodzieńca. Reinhold znowu stał na tem samem miejscu, z którego przed siedmiu miesiącami rzucił się w wodę i znalazł zbroję swoją nienaruszoną.

Ubrawszy się w nią i przypasawszy rycerski miecz do boku, oddalił się szybko od niebezpiecznego jeziorka.

* * *

Teraz począł Reinhold rozmyślać nad tem, w jakiby sposób przyjść do klucza, o którym wspominali mu wszyscy trzej szwagrowie. Już samo przezwisko, nadawane mu od dzieciństwa: "cudowne dziecię", przekonywało go, że nikt inny tylko on ma tajemniczą tę zagadkę rozwiązać. W głębokich zatopiony myślach błąkał się po lesie cały Boży tydzień, a żadna szczęśliwa myśl nie wpadła mu do głowy. Przy tem ustawicznem chodzeniem w ciężkiej żelaznej zbroi i brakiem odpowiedniego posiłku (bo przez cały ten czas żył tylko leśnemi jagodami) zupełnie osłabiony, nie umiał już nawet myśli swoich porządnie ułożyć; organizm jego koniecznie wymagał spoczynku. Postanowił więc całą rzecz odłożyć na bok, a co najrychlej powrócić do leśnego zamku, gdzie z

trwogą i niecierpliwością wyczekiwali go opuszczeni towarzysze. Ale niestety, wyjść z lasu okazało się prawie niepodobieństwem; zamiast wychodzić na coraz wolniejsze miejsca, zagłębiał się coraz więcej w nieprzebyte bez końca gęstwiny. Długą wędrówką po lesie, zmylił sobie zupełnie drogę i nie mógł teraz jej śladu odnaleźć. Zniecierpliwiony tem, upatrzył sobie najwyższe drzewo, na które się, aż na sam wierzchołek wdrapał, by ztamtąd rozglądnąć się swobodnie dokoła i w puszczy się zoryentować. I oto dostrzegł ztamtąd skałami zamkniętą, jodłami i cyprysami uwieńczoną dolinę, a w środku niej dziwnego stylu olbrzymią budowlę, coś niby stary jakiś nagrobek, złożony z marmurowych filarów, na których wsparte były czarne żelazne belki. Między filarami tymi a wiązaniem belek, znajdowała się potwornej wielkości, lśniąca stalowa brama na silnych zawiasach, zaopatrzona klamrami i ryglami i zamkiem wielkim jak głowa wołu. Była to prawdziwa brama forteczna, która nie pod każdym ugnie się ramieniem. Cały budynek miał jakiś dziwnie smutny i odrażający pozór; jakiś chłód zdawał się wiać odeń i jakaś śmiertelność. Przed bramą przechadzał się tam i napowrót jak szyldwach wielki czarny byk, z potężnymi rogami.

Reinhold domyślił się, że w tym miejscu musi być ukryty ów klucz czarodziejski, nad którego odnalezieniem tak długo rozmyślał i że tutaj musi tkwić tajemnica owego czaru, który każe szwagrom jego zamieniać się w różne zwierzęta; postanowił więc natychmiast przystąpić do czynu i długo trawiącą go zagadkę ostatecznie rozwiązać. Ale przystęp do tajemniczego budynku obecnością strasznego byka był zagrożony i niebezpieczny; trzeba więc było pozbyć się go najpierw. Zeszedł zatem z drzewa i powoli zaczął przybliżać się do żelaznej bramy. Byk zdawał się nie uważać na obcego przybysza, niezmienionym krokiem przechadzał się ciągle w jednej linii; dopiero gdy Reinhold znalazł się tuż przy nim, począł okazywać wielką niespokojność. Z rykiem wstrząsającym skały biegał potrząsając dziko łbem i z taką siłą uderzając rogami o ziemię i o bramę, że aż w koło dudniało. Kawałki skał rozpryskiwały się w powietrzu a kurz i proch utworzył prawdziwą chmurę.

Reinhold mimo tego przybliżył się bez lęku; owszem uzbroiwszy się wielkim mieczem rycerskim, prosto szedł na byka zadał mu cios potężny w głowę między rogi; ale byk był oczarowany i cios pozostał bez skutku, a miecz rozprysnął się na kawałki. Toż samo stało się z kopią, którą zwierz jak słomkę roztrzaskał. Wtedy rzucił się na bezbronnego Reinholda, który jak ptak jaki wyleciał w powietrze. Na szczęście, że padł na drzewo, gdyż w przeciwnym razie byłby nogami byka zgnieciony na miazgę. Wisząc wśród gałęzi, przypomniał sobie w tym przykrym położeniu, że ma przy sobie trzy talizmany, przed każdym chroniącym niebezpieczeństwem. Jak mógł najspieszniej wyjął z kieszeni trzy włosy niedźwiedzia i potarł je kilka razy w dłoniach. A był już czas najwyższy, bo rozjuszony byk rogami wykorzenił drzewo. Na szczęście w tej chwili nadszedł potężny niedźwiedź, rzucił się na byka i po krótkiej walce rozerwał go na sztuki.

Ale z brzucha jego wyleciał jakiś straszny potwór ptasi i z przeraźliwym krzykiem wzbił się w powietrze. Reinhold dobył prędko trzy orle pióra, które dał mu szwagier Edgar i również począł trzyć je w rękach. W tej chwili zaszumiały w powietrzu skrzydła olbrzymiego orła, przed którym potwór ptasi w najwyższym przestrachu skrył się w gęstwinę zarośli, tak, że go orzeł stracił nagle z przed oczu. Reinhold widząc to wygnał go z krzaków i począł ścigać aż na brzeg lasu, gdzie zaklęty staw się zaczynał. Tu dopiero wpadł na niego orzeł i rozszarpał go w mgnieniu oka. Ale z ptaka tego wypadło do stawu wielkie jaje, które również wydawało się naszemu rycerzowi podejrzanem. Powtórzył więc z łuskami rybimi to samo co z piórem orlem i włosem niedźwiedzia — i oto nadpłynął potwór rybi, w lot pochwycił jaje i wypluł na brzeg.

(Dokończenie nastąpi.)

W. BOGUSŁAWSKI,

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

DWUŚPIEW.

Stach i Basia.

Odtąd jak się kaj spotkamy,
Zaraz o krówce gadamy,
Lub się turkawki wspomina,
A tak się znowu pocyna.

Kiedy siedziemy we dwoje,
Kiedy się z sobą bawiemy
Zda się, ze wtencas oboje
Jedną dusycką zyjemy.

Bardos.

No, z tego
Początku, łatwo się już domyślę wszystkiego.
(*n. s.*) Nie trzeba tu w popiele zasypiać tych gruszek.
Rzecz ta nie cierpi zwłoki.

(Głośno).

Gdzież teraz staruszek
Ojciec wasz jest?

Stach.

Tu w karcmie.

Bardos.

Idźcież tedy przodem,
Ja tam zaraz nadejdę.

Stach.

Cekamy was z miodem,
I z kawałkiem kiełbasy.

Bardos.

Idźcie moje dziatki,
Ja tu jeszcze wprzód moje zabiorę manatki
I zaraz przyjdę.

Stach *(do Basi).*

Idźma.

SPRAWA IX.

Bardos *(sam).*

No, cóż wy panowie!
Uwieńczeni laurami, wielcy autorowie,
Miałżebym was zostawić krukom na dziubanie?
Nie — z waszej łaski dzisiaj będę miał śniadanie:
Znając, że coś oleju z was mam w głowie mojej,
Za poradę, wieśniak mnie nakarmi, napoi.
Pogódźmy się więc z sobą. Nuż panowie Grecy,
Ponieważ nóg nie macie, pójdźcie na me plecy —
Poniosę was: a kiedy dzisiaj mędrców wiela
Używa was na wsparcie zdań Makijawela,
Ja was na wsparcie bliźnich cierpiących użyję.
Idźmy. Ach! zdaje mi się, że już jem i piję.

(Idąc do karczmy, spostrzega statek na Wiśle).

Ale cóż to za mnóstwo góralów tu płynie?
To pewnie rywal Stacha, bieżmy, nim czas minie,
Trzeba mu tu tak zręcznie sidełka zastawić,
Żeby go nie rozgniewać, a z niczem odprawić,

(Zabiera wszystkie książki i odchodzi do karczmy).

SPRAWA X.

(Słychać najprzód muzykę góralską, — wkrótce przypływają dwie krypy z góralami i z góralkami, niosącemi różne rzeczy, jako to: ser owczy, ryby suszone, kwiczoły i szpaki, bryndzę).

CHOR GORALOW.

My mieskańcy Tatrów górnych,
Idziem do was Krakowiaków,
Niesiem w daze worek spaków,
I sto serów psewybornych.

Kobiety.

Jest i bryndza, i lepienie,
Są kwicoły, jemiołuchy,
Niechajze to nasycenie,
Będzie dla wasej dziewuchy.

Górale.

Psyjmijcie nas do gościny,
I otwóscie wase chaty,
A my poślem nase swaty,
By dziś skońcyć zaręcyny.

SPRAWA XI.

(Ciż sami. Bartłomiej, Dorota, Stach, Basia Jonek, Miechodmuch pijany, Krakowiacy i Krakowianki — wszyscy wychodzą na przywitanie Goralów. Basia i Stach są smutni, Dorota ma minę tryumfującą. Berdos trzyma kawał pieczeni przy ustach).

Bartłomiej.

Witamy gości do nas.

Miechodmuch.

Witamy! witamy!
Za wasze zdrowie duszkiem szklanki wychylamy.

Bryndus.

Dziękujemy.

Morgal.

Dziękujemy.

Miechodmuch

O jak się cieszemy,
Że przecie dzisiaj tańcować będziemy.
Dziś pierwsze zaręczyny, a niedługim czaszem,
Bryndus łączy się z Basią, a Basia z Bryndaszem!
Obym wam prędko zagrał! obym też kubany
Doształ, aby was, abym! obym!

Bartłomiej.

Skońc-ze, mój kochany
Panie Miechodmuch, dosyć, niech racej panowie
Spocną sobie z podrózy.

Miechodmuch.

Zgoda, ja za zdrowie.
Ichmościów tylko jeszcze choć jedną szklanicę.

Bryndus.

A ja za pozwoleniem panocka mojego.
I godnej wej matuli, niech oblubienicę
Psywitam.

(Całuje ją w rękę).

Prawda, tęskniłaś bes swego.

Morgal.

Jamanta.

Basia.

Nie.

Bryndus.

Jakto nie?

Bartłomiej.

Ma dosyć zabawek.

Bardos.

Czasem też pasie krówki, lub szuka turkawek.
Oj, już też nie dla ciebie przysmaczek nieboże
Którego ty tu szukasz.

Morgał.

Oto mi wej spacek, jednak casem moze
Wspomniała panienecka na swego Bryndusa!

Basia.

Ras tylko.

Morgal.

Bo nowego pewnie umizgusa.
Dostała panna.

Basia.

Moze.

(Ciąg dalszy nastąpi).